

BEATA MAJEWSKA



Zdążyć z miłością

MIRAZ

Beata Majewska

Zdążyć z miłością

MIRAZ

[Kup książkę](#)

Rozdział 1

Stuk, stuk. Stuk, stuk...

Obcasy wybijały idealnie równy rytm o posadzkę i choć Olga nie patrzyła pod nogi, bo zajęta była przeglądaniem oferty na nowe meble do swojego gabinetu, nawet na centymetr nie zboczyła z kursu. I nie zeszlaby z niego do końca, aż do drzwi z tabliczką informującą, że tu urzęduje CEO of LABBE magister Olga Becker, gdyby nie zapomniała o szklanym przepierzeniu, które kiedyś rozdzielało długi korytarz na dwie części. Nie weszła w nie, bo od pół roku już go nie było. Niestety ktoś z ekipy remontowo-budowlanej zapomniał zdemontować metalowy element przytrzymujący jedno z nieistniejących skrzydeł i cieniutki obcas zgrabnego bucika Olgi wbił się w sam jego środek.

– Niech to szlag! – zaklęła, bo tylko trochę brakowało, a leżałaby jak długa.

Wysunęła stopę z buta i przykucnęła. Próbowwała wyszarpać obcas z idealnie okrągłego otworu, ale tkwił jak przyspawany. Gdy w końcu udało się jej uwolnić but, była zmęczona jak po treningu kardio. Okolicznością łagodzącą dla tej bardzo kiepskiej formy fizycznej był fakt, że właśnie dzisiaj Olga pierwszy raz stawiała się w pracy, na dodatek zaledwie dwa tygodnie po dosyć ciężkiej chorobie i zabiegu operacyjnym.

– I po bucie – jęknęła, oceniając straty fachowym okiem.

Rzeczywiście, elegancki but ulubionej marki bohaterek serialu *Seks w wielkim mieście* przedstawiał żalosny widok. Czarna lakierowana skóra tuż nad flekiem obcasa kompletnie się zdarła,

a szarpanie spowodowało, że drapieżna i seksowna szpilka zamieniła się w balerinę z wysoko zadartym nosem.

Olga pokuśtykała do jednego z krzeseł stojących pod ścianą i usiadła. Właśnie zaczęła rozmyślać, czy lepiej będzie urwać też drugi obcas, czy może jednak rozważyć skorzystanie z pomocy jakiegoś szewca, który zająłby się tym ciężkim, o ile nie beznadziejnym przypadkiem, gdy ujrzała przed sobą wyciągniętą rękę dzierzącą katalog mebli, czyli współwinnego nieszczęścia.

– Wypadło to pani. – Dziewczynka położyła folder na krzesle obok.

– Dziękuję. – Olga podniosła wzrok na dziecko.

Stała przed nią dosyć pulchna, ale na pewno nie gruba, śliczna bruneteczka z uroczymi warkoczycami. Na oko mogła mieć jakieś siedem lat. Uśmiechała się wesoło, a jej lewy policzek ozdabiał mały dołek.

– Odłamała się? – Dziewczynka zerknęła pytająco na szpilkę.

– Obawiam się, że tak.

– I co teraz?

– Chyba je wyrzucę. Trochę szkoda, bo wczoraj kupione. – Olga lekko wzruszyła ramionami i odłożyła oba buty na to samo krzesło, na którym leżał folder. – Nawet gdy naprawią obcas, but już nigdy nie będzie stabilny.

– Uhm – mruknęła mała, po czym nieśmiało przysiadła na wolnym krześle po lewej stronie. – Jak wrócisz do domku? Na bosaka? – zachichotała, bezwiednie przechodząc na ty.

– Mam w biurze zapasowe buty. A tak w ogóle, co tu robisz sama? – zainteresowała się Olga, bo ostatnie, najcichsze piętro budynku laboratorium wypełniały wyłącznie biura administracji.

– Nie jestem sama. Tatuś poszedł odebrać wyniki i kazał mi poczekać tutaj.

– Rozumiem. – Olga czuła się dziwnie, gdy mała siedziała tak blisko i badawczo wlepiła w nią czekoladowobrązowe oczy ocienione gęstymi rzęsami. – Jestem Olga Becker – przedstawiła się i wyciągnęła rękę, bo nic innego nie przyszło jej w tym momencie do głowy.

– A ja jestem Faustyna Polska – odpowiedziała bardzo poważnym tonem dziewczynka i z równym namaszczeniem uściśnęła dłoń Olgi. – Dla przyjaciół Fisia, Fiśka albo Fausia. Jak wolisz. Możesz też mówić mi Faustyna. To piękne, ale bardzo długie imię, bo składa się z aż czterech sylab. Bardzo niepraktyczne, no ale przecież imienia się nie wybiera. Rodziców też – dodała i nagle nerwowo zachichotała, jakby powiedziała coś bardzo niestosownego. – Mój brat ma na imię Maksymilian. Jeszcze gorzej, bo więcej liter. Ale na szczęście na niego można mówić Maksio. Albo Maksiur, ale to gdy mnie wnerwi, a kiedy Sabinki mówią na niego Maksik, wtedy się strasznie wkurza, bo brzmi, jakby sikał. Nasze imiona są po świętych. Moje po Faustynie Kowalskiej, a Maksia po Maksymilianie Kolbe.

– Aha. – Olga wytrzeszczyła oczy, uniosła brwi i na moment popadła w lekki stupor.

– Ten Maksymilian Kolbe miał jeszcze na imię Maria. Pewnie po Matce Boskiej. A twoje? – Faustyna przechyliła głowę i taksowała Olę świdrującym wzrokiem.

– Moje co?

– Imię. Od kogo pochodzi twoje imię? – zapytała. – Od jakiej świętej?

Stwierdzić, że Olga Becker zbaraniała, byłoby dużym niedopowiedzeniem. Jej rodzice jeszcze za młodu wystąpili z Kościoła katolickiego, jawnie głosili, że są ateistami, a gdy w ich „bezbożne” szeregi zawitała córka, postanowili, że wychowają dziecko dokładnie w takim samym świeckim duchu. Skąd miała wiedzieć, czy kiedyś żyła jakaś jej imienniczka obwołana po śmierci świętą?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – wyznała po chwili namysłu.

– Musisz spytać mojego tatę. On na pewno wie. – Faustyna poklepała ją krzepiąco po ręce. – Ile masz lat? Bo ja osiem, a Maksio cztery.

Olga odetchnęła z ulgą. Przynajmniej na to pytanie знаła prawidłową odpowiedź.

– Za tydzień skończę trzydzieści.

– Dużo. – Dziewczynka lekko zmarszczyła nos. – Ale nie tragicznie.

– Ile to jest tragicznie? – spytała Olga, rozciągając usta w uśmiechu, bo ta rozmowa nieoczekiwanie zaczęła ją bawić.

– Nie wiem. Chyba czterdzieści.

– Hm... Skoro tak uważasz.

– Masz raka?

– Słucham?! – Olgę zamurowało z wrażenia.

– Oj. Nie chciałam ci sprawić przykrości. – Faustyna wyraziła się stropiła. Wyciągnęła szyję i szybko cmoknęła policzek Olgi. – Przepraszam. Tata mówi, że czasami jak coś palnę, a nie nabiję... Przepraszam, nie gniewaj się.

– Nie gniewam się – z trudem wykrztusiła Olga. – Powiedz, dlaczego mnie o to spytałaś?

– Ale masz raka?

– Kiedyś byłam chora, ale już wyzdrowiałam.

– O, jak dobrze! – Dziewczynka podskoczyła na krześle, wyraźnie ucieszona. Jej oczy w momencie odzyskały blask, a w policzku znów pojawił się dołeczek.

Olga nachyliła się, żeby lepiej widzieć Faustynę. Nie miała pojęcia, co sprawiło, że sama z siebie wzięła małą za rękę i ścisnęła jej pulchną dłoń. Przecież nie lubiła dzieci. Wręcz nie znosiła. Według niej wszystkie dzieciaki były hałaśliwe i irytujące, ale nie to było najgorsze. To, co najbardziej ją odstręczało do dzieci, to nuda. „Dzieci są nudne i przewidywalne” – twierdziła. Tymczasem ta dziewczynka była naprawdę wyjątkowa, bo najwyraźniej temu przeczyła.

– Dlaczego to cię tak ucieszyło? – spytała szczerze zainteresowana.

– Rak to straszne świństwo. A gdzie go miałaś?

– Miałam guza, nie raka. O, tu. – Wskazała miejsce wolną ręką.

– Nie miał zbyt wiele miejsca – zachichotała Faustyna, patrząc na płaski brzuch Olgi ukryty pod czarną obcisłą dzianiną. – No, chyba że ci go wycięli razem z brzuchem.

– Z całym brzuchem nie, ale zabrali trochę. A skąd wiedziałaś, że byłam chora? – spytała.

– Bo masz perukę. Jak ci, co mają raka.

Gdy tylko Fisia skończyła mówić, Olga od razu bezwiednie poprawiła włosy. Myślała, że nikt nie zauważy, a tu proszę: pierwszy dzień w peruce i już. Została zdemaskowana przez ośmiolatkę! Zerknęła na prawą dłoń, żeby stwierdzić, że ciągle jeszcze ma siniaka po wenflonie, ale akurat tym się nie przejmowała. Gorszy był ślad po wkłuciu centralnym. Właśnie dlatego założyła czarny golf.

– Serio, tak od razu widać, że to nie moje włosy? – Olga szczerze się przejęła, bo peruka, choć z syntetycznych włosów, sporo kosztowała. – Jest bardzo podobna do mojej fryzury sprzed leczenia. Myślałam, że nikt nie zauważy – wyjaśniła nieco zmartwiona.

– Nie. Jest bardzo ładna. I prawie jak naturalna – pocieszyła ją natychmiast Faustyna. Chciała wytłumaczyć, że kiedyś też nosiła perukę i dlatego zwróciło to jej uwagę, gdy nagle usłyszały za plecami:

– Fiśka! Wszędzie cię szukam!

Zajęte rozmową nie zauważyły, kiedy podszedł do nich jeszcze jeden niespodziewany gość.

– Tatuś! – Dziewczynka zerwała się z krzesła, objęła mężczyznę i mocno ścisnęła w pasie. – Czemu tak długo cię nie było? – Popatrzyła na niego, zadzierając głowę.

– Szukam cię od kwadransa – stwierdził z wyrzutem przystojny blondyn. W jego głosie pobrzmiwały jednocześnie ulga, że dziecko się znalazło, i złość na nie, bo przecież to nic miłego biegać po całym budynku w poszukiwaniu niesfornej córeczki.

– Kazałeś mi tu czekać. Powiedziałeś: „Idź na korytarz i poczekaj”. A to niewątpliwie jest korytarz – orzekła z emfazą, używając słówka, którego ostatnio się nauczyła i które nazbyt często powtarzała.

Olga parsknęła śmiechem, od razu skupiając na sobie uwagę mężczyzny. Zerknął na nią, ale szybko znów nachylił się nad dzieckiem i spytał:

– Kazałem ci iść na trzecie piętro?

– Chyba nie. – Faustyna wzruszyła ramionami. – Ale najważniejsze, że mnie znalazłeś. Po co ta awantura? Stres skraca życie,

a ty nie rób mi wstydu. Poza tym byłam zajęta, rozmawiałam z kimś. – Odkleiła się od ojca i popatrzyła na nową znajomą. – To Olga. Moja koleżanka.

– Kamil Polski. – Mężczyzna lekko skłonił głowę.

„Dobrze wychowany, pierwszy nie pcha ręki” – skonstatowała w myślach Olga. Uniosła się z krzesła i wyciągnęła prawą dłoń:

– Olga Becker. Miło mi poznać tatę Faustyny. – Uśmiechnęła się do mężczyzny.

Od razu wpadł jej w oko. Był jej wzrostu lub ciut niższy, ale, prawdę mówiąc, rzadko który mężczyzna górował nad Olgą i jej metrem osiemdziesiąt wzrostu. Jeśli chodzi o sylwetkę, zbyt wiele nie mogła zauważyć pod nieco obwisłym i grubym swetrem, ale na pewno pan Polski nie miał wydatnego brzuszka. Za to patrzył na świat najpiękniejszymi oczami, jakie Olga kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Jego tęczy były jasne, błękitnoseledynowe, otoczone cienką obwódką w bliżej nieokreślonym rdzawym odcieniu. Gdy się w nie wpatrywała, na ich dnie coś zdawało się migotać, zupełnie jak promienie słońca przenikające wodę górskiego strumyka płynącego wartko po drobnych kamyczkach.

– Tatusiu, bucik Olgi się zepsuł. I co teraz? – Faustyna przebrała jej kontemplację urody pana Polskiego.

– Ach, no tak. – Olga natychmiast puściła dłoń mężczyzny. – Faktycznie, złamałam obcas. – Zagryzła wargi, zawstydzona, że tak długo trzymała rękę ojca Faustyny i gapiała się nań jak cielę na malowane wrota.

– Proszę pokazać.

– Już.

Kamil przez chwilę oglądał uszkodzony but, później sięgnął po drugi, jeszcze raz wrócił do poturbowanego obcasa wiszącego na wąskim paseczku skóry i wyraźnie się skrzywił. Nie wyglądało to dobrze, ale przecież nie był głupi i zdążył zauważyć, że buty musiały sporo kosztować. Akurat w tym przypadku naprawa miała sens, w przeciwieństwie do reperacji butów Fiśki czy Maksia, które szybko lądowały na śmietniku, bo tylko tam się nadawały po pół roku żywiołowej eksploatacji.

– Chyba znam niezłego szewca. Nomen omen, urzęduje na Garncarskiej. – Popatrzył na Olgę i zaśmiał się ze swojego żartu, choć nie zakończył go żadną sensowną puentą, bo takiej po prostu nie było. – Żona kilka razy zaniósła tam moje buty do podzelowania. Będzie pani zadowolona – oznajmił, wręczając Oldze szpilki. – Niestety nie mam przy sobie numeru telefonu do tego pana, ale mam w domu, zapisany w notesie. Zaraz dam pani wizytówkę. Oczywiście moją, nie tego szewca – dodał, sięgając do tylnej kieszeni spodni po portfel. Przez chwilę w nim szperał, aż w końcu wyjął sfatygowany kartonik. – Prawie wszystko nieaktualne, ale nazwisko się zgadza, a mój numer znajdzie pani z tyłu – oświadczył, wkładając wizytówkę do wnętrza uszkodzonej szpilki. – Proszę o telefon za jakieś trzy godziny. Będę już w domu.

– Mam do pana zadzwonić? – Olga uniosła brwi.

Zdziwiło ją zachowanie mężczyzny. W zasadzie nigdy nie dzwoniła pierwsza do żadnego faceta, ale szybko uznała, że Kamil na pewno nie zalicza się do grona chętnych, żeby pójść z nią na randkę czy zawlec do łóżka. Poza tym miał żonę.

– No tak. – Pokiwał głową. – Może też pani wysłać SMS-a, odpiszę.

– E... bardzo dziękuję. To może SMS będzie lepszy.

– Proszę wybaczyć, ale trochę się spieszymy. – Znów skłonił głowę.

– Przepraszam, już pana nie zatrzymuję. – Uśmiechnęła się blado, wyraźnie zawstydzona nagłym zakończeniem spotkania. – Trzymaj się, Faustynko, miło było cię poznać – powiedziała ciepło do dziewczynki.

– Mnie też było miło. – Mała obdarzyła ją „dołeczkowym” uśmiechem. – Pa, pa.

– Do widzenia – dodał Kamil.

Chwilę później Polscy dotarli do schodów i wtedy Faustyna obróciła się i pomachała ciągle stojącej na korytarzu Oldze.

– Ona jest bardzo miła – powiedziała do ojca, gdy szybkim krokiem przemierzali parking przed budynkiem laboratorium.

– Fisiu, nie możesz tak biegać, gdzie chcesz i zaczepiać obcych osób – strofował ją Kamil. – To niegrzeczne i niebezpieczne.

– Olga nie jest obca. Przecież ją znamy – odparła niezrażona Faustyna.

– Tak, znamy. Pięć minut – westchnął Kamil.

Mimo to musiał przyznać, że nawet te kilka minut wystarczyło, żeby dokładnie się przyjrzeć nowej znajomej córki. Niewątpliwie była atrakcyjną kobietą: smukła czarnula, może ciut za szczupła jak na swój wzrost, z twarzą jak u porcelanowej lalki i prawie czarnymi oczami spoglądającymi bystro i przenikliwie. Jednak to ustami najbardziej go urzekła. Ich kształt, pełność warg, karminowy kolor od razu rzuciły mu się w oczy. „Niestety, poza zasięgiem. Piękna, ale niewątpliwie za wysoka. Nawet boso niešla z niej żyrafa, a co dopiero w szpilkach” – uznał w myślach Kamil.

– Wiesz, że Olga nie zna swojej świętej? – spytała Faustyna, zajmując miejsce na tylnym siedzeniu.

– Hm... Ja chyba też nie kojarzę żadnej świętej Olgi. – Kamil zmarszczył czoło. – Ale mogę sprawdzić w Internecie. A teraz jedziemy po Maksia, później do McDonalda, jak wam obiecałem, a na koniec odwiedzimy mamę. Pasuje ci ten plan?

– Pasuje! – odrzyknęła uradowana Faustyna, bo tata tylko dwa razy w roku dawał się namówić na wizytę w tej restauracji serwującej najpyszniejsze jedzonko na świecie, jak uważała.

– To w drogę!



Olga jak zawsze wróciła do domu dopiero pod wieczór. Rzuciła torebkę na podłogę, płaszcz wylądował na oparciu kanapy, a ich właścicielka padła jak kawka na skórzane siedzisko. Ułożyła się wygodnie, wsparła głowę o podłokietnik i nie zzuwając butów, oparła nogi o niską ławę.

Sięgnęła po pilota i przez chwilę bezmyślnie skakała po kanałach, ale nic jej nie zainteresowało. W końcu zatrzymała się na jakimś programie informacyjnym, żeby cokolwiek rozbijało tę

okropną ciszę panującą wokół. Mówi się, że dźwięki są czyste lub mają brudne brzmienie, są łagodne albo ostre i bolesne. Olga do tego repertuaru mogła dodać coś jeszcze. Czasami miała wrażenie, że w jej rodzinnym domu cisza ma zapach stęchlizny.

Schyliła się i podniosła torebkę, odnalazła telefon oraz wizytówkę Polskiego i opadła z powrotem na kanapę. Może to było śmieszne, ale już od godziny zastanawiała się, czy napisać SMS-a w sprawie superszewca z Garncarskiej, czy też samej spróbować go jutro odnaleźć. „Przecież to nie najdłuższa ulica w mieście – dumiała, wpatrując się w pożółkły kartonik. – Becker, nie zachowuj się jak idiotka. To nic nadzwyczajnego: koleś dał ci wizytówkę, więc napisz tego cholernego SMS-a i nie cuduj – ochrzaniła się w duchu, a za moment znów napłynęło pytanie: – A jeśli to jakiś świr?”

Była na siebie zła. Jak zawsze, gdy coś ją zafrapowało, a tak właśnie było, chciała od razu wiedzieć jak najwięcej. Po dziwnym spotkaniu z jeszcze dziwniejszą dziewczynką Olga wróciła do swojego biura, w komputerze odnalazła kartotekę Faustyny oraz, co jeszcze bardziej zaskakujące, jej taty Kamila, i przeanalizowała wszystkie badania, które ta tajemnicza dwójka z zadziwiającą regularnością robiła od ponad czterech lat.

Co trzy miesiące przychodzili oboje. Na zleceniu małej powtarzały się w kółko te same badania: morfologia krwi, białko CRP i odczyn Biernackiego, jej ojciec z kolei robił różne: i te podstawowe, jak morfologia, i bardziej specjalistyczne, na przykład TSH, próby wątrobowe czy poziom trójglicerydów; ale jedno je łączyło: zarówno mała Faustyna, jak i Kamil Polski byli zdrowi jak ryby.

Właśnie wtedy pomyślała pierwszy raz: „A może to jakiś świr?”. Owszem, zdarzali się klienci, którzy co tydzień przychodzili na morfologię, bo była tania, a uspokajający wynik otrzymywali natychmiast i prawie zawsze prawidłowy, ale hipochondria rozciągnięta na własne dziecko? Swego czasu Olga interesowała się różnymi odchyłkami od normy, czytała o zastępczym zespole Münchhausena, ale nie знаła osobiście takiego przypadku. Nie mieściło jej się w głowie, żeby świadomie i niepotrzebnie narażać

dzieciaka na stres, bo przecież to nic miłego mieć pobieraną krew. A czemu tylko Faustyna? A nie ten Maksio? I co na to żona tego dziwnego kolesia?

Rozważała też jakąś odmianę kancerofobii ze względu na zaskakującą wiedzę dziewczynki o skutkach chemioterapii. Żeby dojść do jakichkolwiek wniosków o Polskim, przeanalizowała również wizytówkę. Niestety, nic nie odkryła poza dwoma przekreślonymi adresami mailowymi i informacją po angielsku, że inżynier Kamil Polski pełnił obowiązki kierownika działu o tajemniczym numerze XR453EE. Po dogłębnym sprawdzeniu obu adresów okazało się, że wskazują na domenę jakiejś zagranicznej firmy zajmującej się tworzeniem specjalistycznego oprogramowania dla wojska. „Pewnie go zwolnili i zaczęło mu odbijać. Albo zaczęło mu odbijać i dlatego go zwolnili” – wysnuła naprędce dwa różne, choć dosyć jednoznaczne wnioski.

Właśnie dlatego się wahała. No i jeszcze te imiona! Kto to widział, żeby dać dziecku na imię Faustyna? Nie trzeba mieć szczególnie rozwiniętej wyobraźni, żeby wiedzieć, jaki los czeka dzieci o takich bardzo rzadkich i oryginalnych imionach. Z reguły były przyczyną ciągłych drwin i prześladowań każdego Mściwoja, Ścibora, Eurydyki czy jak w tym przypadku – Faustyny. I to już od przedszkola.

Kusiło Olgę, żeby zadzwonić do Dorotki, jedynej osoby z laboratorium, która była z nią na ty i na dodatek pobierała materiał do badań, więc na pewno co najmniej kilka razy, o ile nie kilkanaście, miała możliwość porozmawiania z Polskim i jego córką, ale trochę się wahała. Pewnie usłyszałyby mnóstwo informacji, mniej lub bardziej prawdziwych, bo Dorotka stanowiła swoistą wewnętrzną rozgłośnię BBC krakowskiego oddziału sieci laboratoriów LABBE, ale to była broń obosieczna. Nazajutrz wszyscy by wiedzieli, i to jeszcze przed poranną kawą, że szefowa interesuje się jakimś pacjentem i jego córką.

– Jezu... Co ja robię?! – warknęła Olga i plasnęła się w czoło. „Zamiast iść wziąć prysznic, zjeść coś, siedzę tu jak debilka i myślę o bzdurach. Pewnie ten szewc klepie buty w jakiejś norze

od podwórza i nigdy go nie znajdę”. Szybko wstukała bardzo lakoniczną treść SMS-a oraz numer Kamila i wcisnęła „wyślij”. – I już. Gotowe – burknęła do siebie.

Odłożyła telefon, pewna, że odpowiedź dotrze za chwilę lub wcale, bo z tym się też liczyła, ale ku jej zaskoczeniu aparat zabrzęczał prawie natychmiast.

– Matko! – jęknęła. – To na stówę świr. Czekał z telefonem w łapie?

Kręcąc głową z niedowierzaniem, podniosła komórkę. Na szczęście to była wiadomość od Izki. Olga przeczytała, odpowiedziała szybko, że nigdzie się nie wybiera przez weekend, bo nie ma siły ani ochoty, i ledwie zdążyła ją wysłać, a otrzymała kolejny SMS. Polski podał jej numer telefonu stacjonarnego do mistrza Jana Kozy, napisał również, pod jakim numerem domu urzęduje fachowiec, ale oprócz tych informacji i standardowych pozdrowień dodał coś jeszcze:

Na prośbę Fisi i w wielkim skrócie: Święta Olga Kijowska, zwana Olgą Mądrą, znana z tego, że jej ciało nie uległo rozkładowi po śmierci i stanowiło relikwię, która miała uzdrawiającą moc. Jeśli Pani chce, mogę zdobyć znacznie więcej materiałów na temat tej świętej niż to, co można przeczytać w Wikipedii. Chętnie je Pani przedstawię osobiście, na przykład przy filiżance kawy lub dobrej herbaty. Proszę napisać, czy jest Pani zainteresowana.

– Nie wierzę. – Olga bezwiednie złapała się za czoło. – Kato-podryw na Świętą Olgę i niegnijące zwłoki? Trzeba przyznać, koleś jest oryginalny albo nieźle walnięty – mruknęła. – Co to ma być? Za plecami żony zapraszać jakąś świeżo poznaną kobietę na kawę, żeby gadać o świętych?

Szybko odpisała, że bardzo dziękuje za wszystkie informacje i że w zupełności jej wystarczą. Poprosiła o przekazanie pozdrowień Faustynie i wysłała SMS-a.

– Co za ulga... – stęknęła pół minuty później, gdy dotarł kolejny SMS od Polskiego, zawierający wyłącznie trzy słowa: *Ok. Pozdrawiam. Kamil.* Na wszelki wypadek od razu wyłączyła

aparatu. – Najwyższy czas umyć zwłoki, żeby się nie zepsuły. Każda mądra Olga tak robi – sarknęła i poczłapała do łazienki.

Miała dość tego dnia. Zresztą jak i wszystkich poprzednich.



Od kiedy dzieciaki odwiedziły z ojcem fabrykę cukierków, a raczej malutką manufakturę na Grodzkiej, i własnoręcznie ulepiły dwa dosyć koślawe lizaki o smaku truskawkowo-śmietankowym, Kamil nie mógł ich odciągnąć od tego miejsca.

Gdy tylko zbliżali się do Rynku, Maksio zaczynał przynudzać, że chce do „Ciuciu”, Fiśka mu wtórowała, a biedny ojciec dawał się tam zaciągnąć, bo nie miał innego wyjścia. Jego narzekania, że to sam cukier, barwniki i aromaty, nie odnosiły żadnego skutku. Tak samo jak roztaczana przez niego wizja popsutych zębów i groźba związanych z tym częstszych wizyt u pani Wandzi, stomatolożki.

– Mój jest anyżkowy – powiedziała Faustyna i z lubością oblizowała sporą zieloną kulę.

– Mój jest lepszy, bo truskawkowy, a wszyscy ludzie na świecie lubią truskawki. Nawet Eskimosy.

– Eskimosi, a tak właściwie Inuici – poprawił syna Kamil. On też musiał kupić dla siebie lizaka. Wybrał najmniejszego i o smaku mięty, ale i tak czuł, że jeszcze chwila i zwymiotuje od nadmiaru słodczy. – No, chodźcie – popędził dzieciaki, bo wlokły się noga za nogą. – Kwiecień nas zastanie, jeśli w tym tempie będziemy iść na parking – burknął.

– A kiedy będzie kwiecień? – spytał ojca Maksio.

– Za tydzień.

– Panikujesz, tato – orzekła Fiśka.

– Niewątpliwie – dodał jej brat.

– Niewątpliwie to już nigdy nie zabiorę was do „Ciuciu”, jak tak się będziecie wlec.

– Psujesz nam zabawę! – fuknęła pod nosem Faustyna. – Tak nie wolno. Nie wolno wykorzystywać...

– Wykorzystywać – poprawił Kamil.

– Wykorzystywać – powtórzyła szybko Fisia – swojej przewagi ekonomicznej. Mężczyzna nie może wykorzy... stywać przewagi ekonomicznej. To jest bardzo słabe.

– Ekonomicznej, jeśli już. A teraz chodźcie szybciej, bo na miły Bóg wykorzystam swoją przewagę, ale tę fizyczną, i zabiorę wam to słodkie świństwo. – Popchnął lekko dzieciaki, stawiając w głowie diagnozę: „Za dużo Sabineek”.

– Płacisz pięć złotych do kasy – burknęła z satysfakcją Fiśka i polizała anyżkową kulkę, która była już bardzo mała.

– Za co? – spytał Kamil, próbując odtworzyć w głowie to, co przed chwilą wyszło z jego ust.

– Za miłego Boga – usłużnie podpowiedział Maksio.

– To wy płacie po dwa pięćdziesiąt – orzekł, z ulgą wyrzucając patyczek do najbliższego kosza na śmieci.

– Za co?! – ryknęły chórkami dzieciaki, stanęły jak wryte i z oburzeniem wpatrywały się w ojca.

– Za to, że mnie sprowokowaliście – odpowiedział, łapiąc swoją niesforną dwójkę za poklejone cukrem ręce. – Idziemy!

– To demagogia – stwierdziła Fisia po udanej próbie przypomniaenia sobie kolejnego fajnego słowa, które ostatnio usłyszała od Inki.

– I populizm – dodał Maksio.

– Populizm – sprostował bezwiednie Kamil. – Nigdy nie strzeliłem was w tyłek i teraz widzę, że to był błąd. Już ja wam zrobię populizm, ale w domu – warknął, ciągnąc ich za sobą. – I macie szlaban na Sabinki, bo znów sprząły wam mózgi.

– Do kiedy? – Maksymilian jak zawsze chciał być dobrze poinformowany.

– Do odwołania. – Z obu dziecięcych gardeł od razu wyrwał się jęk, więc Kamil szybko dodał: – Jak przyspieszycie, wszystko wam daruję.

– No dobra... – burknęła Fiśka.

Przyspieszyli. Na szczęście lizaki zostały już schrupane i dzieci nie miały powodu, żeby spacerować wolnym krokiem, jak przedtem. Minęli Rynek, weszli na plac Szczepański, gdy nagle Fiśka pisnęła na całe gardło:

– Olga!!!

I faktycznie, to właśnie Olga wychodziła z budynku, gdzie mieścił się prywatny gabinet jej lekarza ginekologa.

– Faustyna! – Podeszła do dziewczynki, nachyliła się i podała jej rękę. – Cześć. Jak miło cię zobaczyć. A ty to pewnie Maksio? – Uniosła lekko brwi, zerknąwszy na chłopca, który wyglądał jak zminiaturyzowana kopia ojca.

– Dzień dobry, jestem Maksymilian Maria Polski. – Podał jej lepką dłoń.

– A ja Olga Becker.

– Fisia powiedziała, że pani nosi perukę. I że miała pani guza w brzuchu. To jest bardzo dziwne, bo ja też miałem guza, jak mnie Matryna z mojego przedszkola uderzyła w głowę samochodem. Ale mój guz był tutaj. – Dotknął się nad czołem.

Kamil wywrócił oczami, myśląc że koniecznie musi wdrożyć ten „pupulizm” w domu i za brak dyplomacji oraz długie ozory natrzeć obu swoim pociechom uszu.

– Dzień dobry i przepraszam. Za nich – dodał znad głów dzieci.

– Dzień dobry i nic się nie stało. – Olga wyprostowała się i podała dłoń Kamilowi.

Z premedytacją przywitała się najpierw z dziećmi. Było jej bardzo głupio, gdy parę dni temu wysłała Kamilowi krótkie podziękowanie za namiary na tak doskonałego szewca, jakim okazał się Jan Koza, a Polski nie odpisał ani jednym słowem. Chyba wyczuł, że się o to dąsa, bo podjął temat:

– Przepraszam, że nie odpisałem na pani SMS-a.

– Był zbyt oficjalny? – zakpiła z pozornie niewinnym uśmieszkiem na twarzy.

– Nie aż tak oficjalny, jak ten przedostatni – odparował, bo ciągle pamiętał, że poczuł się jak idiota, gdy na swoją zawołowaną propozycję spotkania uzyskał odmowną odpowiedź. – Mimo to bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że pan Janek się spisał.

Olga już miała na końcu języka ripostę, że nie tylko z kulturą i wiernością małżeńską u Polskiego na bakier, lecz

także z umiejętnością czytania ze zrozumieniem, ale się powstrzymała. W sumie, co by jej dała wymiana „uprzejmości” z tym dziwnym człowiekiem?

– Tak, spisał się. Jak widać. – Spuściła wzrok na swoje stopy obute w szpilki.

– Ojej, masz naprawiony but! – pisnęła Faustyna.

– Uhm. Pośrednio dzięki twojemu tacie. To naprawdę bardzo pomocny człowiek. – Popatrzyła na Kamila i lekko skinęła głową.

– E... No tak. – Wyrażnie się spłoszył pod jej spojrzeniem. – To my...

– Ach, na pewno znów się pan spieszy. Pewnie żona przygotowała kolację. Nie zatrzymuję – wycodziła słodkim tonem. – Faustynko, Maksiu, miło było was spotkać. – Zerknęła na dzieci.

– Tata nie ma żony – oświadczył malec.

– Mama umarła – dodała Fisia i jak zawsze, gdy o tym mówiła, nieświadomie uniosła ramiona do góry, jakby miało to jej pomóc zbagatelizować własne słowa albo wrażenie, jakie wywierały.

– Kolację robi nam tatuś – dopowiedział Maksio. – Ja jem chrupki z mlekiem, a Fiśka jajecznicę albo budyń. Też lubię budyń, ale na deser. Nie na kolację.

– Och! – wyrwało się Oldze. – Ojej, bardzo mi... – zawiesiła głos, bo poczuła się nieprawdopodobnie głupio. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, a dokładnie pod granitowe płytki, którymi wyłożono chodnik.

– Nic się nie stało – ulitował się nad nią Kamil.

Szybko doszedł do wniosku, że trochę winy za to nieporozumienie leżało po jego stronie. Gdy mówił o szwecu, wspomniął przecież, że żona zanosila tam jego buty. Skąd pani Becker mogła wiedzieć, że Ania nie żyła już od kilku lat?

– Bardzo mi przykro. – Olga zagryzła wargę. – Przepraszam, że... – Pokręciła głową nad własnym zachowaniem.

– Tatuś chciał cię do nas zaprosić na kawę. Ale się nie zgodziłaś. Dlaczego? – Faustyna zrobiła smutną minę. – Nie lubisz kawy?

– Fisiu, przestań. – Kamil położył rękę na głowie córki i lekko poczochnął jej włosy.

– Czemu nie przyszedł do nas? – zainteresował się Maksio. Przy okazji postanowił nie mówić do Olgi per „pani”, tylko dokładnie tak, jak mówiła Fiśka.

– Nie męczcie pani Olgi.

– Nie męczą mnie, panie Kamilu – odparła szybko. – Lubię kawę. Nawet bardzo. Ja... wtedy naprawdę nie miałam czasu. – Jakoś wybrnęła, choć uważne spojrzenie mężczyzny wcale jej nie pomagało.

– Tatusiu, zaprosz jeszcze raz Olę! Proszę! – Faustyna uwiesiła się ręki ojca i parę razy nią szarpnęła.

– Tak! Tatusiu, zaprosz Olę! – powtórzył Maksymilian, choć wcale mu nie zależało na wizycie tej wysokiej pani, ale przecież nie mógł być gorszy od siostry.

– Sama pani widzi... – zaśmiał się Polski i rozłożył ręce. – Nie mam, a raczej nie mamy innego wyjścia, więc chyba musi nas pani odwiedzić.

– Dobrze – zgodziła się prawie od razu.

– Jupi!!! – pisnęła Fisia. – Ale dzisiaj?

– Dzisiaj? – Olga była zaskoczona.

– Czemu nie? – dodał Kamil. – Chyba że ma pani inne plany na wieczór?

– Nie mam planów, ale już za późno na kawę, a ja właśnie wyszłam od... – zawiesiła głos i popatrzyła przez moment na tabliczkę informującą, że w podwórzu znajduje się wejście do gabinetów lekarskich.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że wszystko w porządku? – Stropił się, bo przecież on pierwszy wysłuchał historii o Oldze i wiedział, że kobieta stojąca przed nim prawdopodobnie jeszcze niedawno walczyła o zdrowie, o ile nie życie.

– Tak. Dziękuję. Panie Kamilu, proszę się nie gniewać, ale jedyne, o czym teraz marzę, to wrócić do domu, wziąć gorącą kąpiel i iść spać – pozwoliła sobie na szczerość.

– Nie, no jasne, że się nie gniewam. – Uśmiechnął się. – Gdy będzie pani miała ochotę nas odwiedzić, proszę wysłać SMS-a, na pewno się dostosujemy. Prawda, dzieciaki? – Zagarnął je ramionami i przez moment patrzył na nie z czułością.

- Tak. Poczekamy na ciebie – potwierdziła Faustyna.
 - To może jutro? O ósmej? – zaproponowała Olga.
 - Tak późno? O ósmej idziemy spać – powiedział Maksio i wykrzywił buzię w podkówkę.
 - O szóstej?
 - Tak! O szóstej!!! – Głosy dwójki dzieci przeszły wilgotne marcowe powietrze i odbiły się od ścian budynków po drugiej stronie placu, żeby wrócić do nich w postaci echa.
 - Dobrze, będę o szóstej.
 - Wyślę pani adres SMS-em.
 - A tak, przecież nie wiem, gdzie mieszkacie.
 - Dzielnica Prądnik Biały, osiedle Azory, ulica Marii Jaremy... – zaczęła recytować Faustyna, ale Kamil jej przerwał.
 - Jeszcze dzisiaj napiszę pani adres. A teraz dajcie już spokój pani Oldze. A może panią podwieźć? – zaproponował ku uciesze dzieci, dla których każda zmiana planów mogła oznaczać coś ciekawego.
 - Dziękuję. Mam samochód tu niedaleko. – Wskazała brodą w bliżej nieokreślonym kierunku.
 - Rozumiem. To my się już pożegnamy. – Kamil z niepokojem spojrzał na Faustynę, której z zimna posiniały usta.
 - Do zobaczenia jutro.
- Olga podała rękę całej trójce, tym razem zaczynając od Polskiego, i z ulgą poszła do samochodu. Wsiadła, uruchomiła ogrzewanie i dopiero wtedy pozwoliła sobie na okazanie złości na samą siebie. Ale szybko jej przeszło, bo była zbyt zmęczona, żeby długo się wkurzać.
- No, Becker, randki z wdowcem to ty jeszcze nie miałaś. A już z wdowcem i dwójką jego dzieci? – zachichotała, wyjeżdżając z parkingu. – Nikt mi nie uwierzy. Nawet ja sama...

Rozdział 2

Trzy godziny snuła się Olga po galerii, żeby ostatecznie znów wrócić do Empiku. Kupiła dwie książeczki dla Faustyny, grę planszową dla Maksia, niestety, dla ojca dzieci nie znalazła nic właściwego. Bo i jak miała to zrobić, skoro nie wiedziała, czy Kamil lubi czytać? Pomaszerowała do delikatesów, gdzie zainwestowała w najdroższą nalewkę, jaka stała na półce, poprosiła o swojskie wędliny, słoik różanych konfitur, dwa mniejsze z jasnym i ciemnym miodem, owocową herbatę, butelkę soku i coś słodkiego dla dzieciaków. Całość ekspedientka spakowała do wiklinowego kosza i pięknie ozdobiła kokardami z papieru i rafii.

Blok, w którym mieszkał Kamil, wyglądał całkiem nieźle. Jedynie napisy i proste rysunki przedstawiające organy rozrodcze człowieka i „zdobiące” boczną elewację mogłyby kogoś zniechęcić, ale nie Olę. Widziała gorsze, i to nieraz. Dotarła pod klatkę schodową, stwierdziła, że domofon nie działa, a drzwi są uchylone, więc weszła.

Oj, ucieszyły się dzieciaki, gdy wkroczyła do mieszkania. Nie spodziewały się, że coś dla nich przyniesie. Kamil ku wielkiej radości pozwolił im rozszabrować koszyk. Usiadły na dywanie na środku gościnnego pokoju i wykrzykiwały radośnie przy każdym produkcie, nawet przy suszonej kiełbasie jałowcowej, co wprawiło go w poważne zakłopotanie.

– Zachowuj się, jakbym je głodził – powiedział, kręcąc głową.

– Mogłam wziąć trzy razy większy kosz. – Olga zerknęła na dzieci i na porzucone obok nich książeczki.

– To soczek? – spytał Maksio, pokazując nalewkę.
– Soczek dla taty – wyjaśniła Olga. – Dla was jest ten jasny, z jabłek.

– Aha. To proszę. – Malec wstał i postawił butelkę na ławie.

– Na pewno nie jesteś... nie jest pani... – zająknął się Kamil.

– Nie jestem głodna. Na pewno – stwierdziła Olga. – Może przejdziemy na ty?

– Doskonały pomysł! To ja idę po kieliszki. – Chciał zadośćuczynić tradycji, ale gość od razu zaoponował:

– Nie piję. Przyjechałam samochodem, poza tym ciągle biorę leki i nie mogę pić alkoholu – wyjaśniła. – Wystarczy uścisk ręki. Olga. – Uniosła się lekko z fotela i podała mu dłoń.

– Kamil.

– Możemy to zjeść? – Faustyna pokazała słoik z konfiturą. – Jeszcze nie jadłam dżemu z kwiatków.

– Ja też chcę dżem z kwiatków! – Maksio zerknął łapczywie na słoik.

– Idźcie do kuchni, tam jest pokrojony chleb, weźcie nóż do masła i zróbcie sobie kanapki, ale najpierw daj mi to, Fisiu, odkręć – polecił Kamil. – Zjedźcie w kuchni, bo cały dom zakleicie tym dżemem.

– Słuchają cię – stwierdziła z podziwem Olga, gdy dzieci pomaszerowały do kuchni, zabrawszy nie tylko konfiturę, lecz także butelkę z sokiem oraz jeden z miódów.

– Wyjątkowo. Tak brykali po południu, że im zagroziłem: „Zadzwońię do pani Olgi i powiem, żeby nie przychodziła”. Pewnie dlatego.

– Rozumiem. – Pokiwała głową, uśmiechając się. – Ładnie tu. – Rozejrzała się wokół.

Mówiła prawdę. Mieszkanie urządzone było bardzo gustownie. Przytulnie, choć bez zbędnych bibelotów i chaotycznej płataniny wzorków, ale nie surowo, a raczej po kobiecemu, w pastelowych kolorach. Na środku pokoju królowała biała sofa, obok stały dwa wygodne fotele, przed nimi ława, a pod ścianą regał w naturalnym odcieniu klonu. Na jasnym parkiecie leżał dywan o barwie moreli, zaskakująco czysty, chociaż na pewno

nienowy, a naprzeciw okna stała komoda ozdobiona zdjęciem w białej ramce przedstawiającym państwa Polskich w ślubnych strojach.

– Dziękuję, choć to nie moja zasługa. Ja tu tylko sprzątam, a uwierz, mam co robić. – Kamil wskazał brodą na leżące na dywanie wiktuały i walające się wokół fragmenty opakowania koszyka.

– Wierzę na słowo. Muszę, bo nie mam dzieci.

– Pół godziny spokoju – orzekł Kamil, słysząc że dzieciaki włączyły w kuchni telewizor. – Będą przeżuwać i oglądać bajkę. Korzystają, bo raczej im nie pozwalam oglądać telewizji w czasie posiłków.

– Groźny jesteś.

– Pozory – odparł, uśmiechając się lekko. – Przepraszam, ale chciałbym cię o coś spytać. Fiśka mówiła, że...

– Nie przepraszaj. Rzeczywiście, byłam chora. Miałam guza na macicy, dokładnie mięsaka. Na szczęście nie był złośliwy, ale musieli go usunąć razem z narządem. Z macicą – dodała.

– Bardzo mi przykro – chrząknął Kamil, myśląc, że to straszne przeżycie dla takiej młodej kobiety. – Wody? – zapytał, mimo że już sięgnął po karafkę i zaczął napełniać dwie szklanki.

– Dzięki, może być.

– Co mówią lekarze? – kontynuował, podając jej szklankę.

– Rokowania są bardzo dobre. Bałam się, że coś z genami BRCA jeden i dwa, na pewno słyszałeś o tym w telewizji. Swego czasu mówili, że Angelina Jolie ma taki właśnie problem, ale nie mam żadnych mutacji, więc prawdopodobnie mój guz to incydent. Na razie chodzę co dwa tygodnie do kontroli. I biorę leki – dodała jeszcze raz usprawiedliwiająco. – Najadłam się trochę strachu przed samym zabiegiem, bo oprócz guza wykształcił się niewielki tętniak i lekarz mnie ostrzegł, że to kłopot, ale opanowali sytuację.

– Dzięki Bogu – westchnął Kamil. – Będzie dobrze, teraz tylko dbaj o siebie.

– Dbam.

– No właśnie widzę. – Puścił jej oczko. – Nie chciałaś zjeść kolacji. Może krzyknę, żeby dzieciaki zrobiły ci kanapkę z miodem? A jak hemoglobina? A płytki krwi, że nie wspomnę o leukocytach?

– Nie jestem głodna – powtórzyła jak mantrę. – Myślałam, że jesteś informatykiem, a widzę, że chyba mam do czynienia z domorosłym panem doktorem.

– Fiśka też była taka szczupła po chemii. Tak, dobrze słyszysz. Parę lat temu przeżywaliśmy z Anią – na moment zatrzymał wzrok na zdjęciu – prawdziwy koszmar.

– Co jej było? – Olga wzięła głęboki oddech, bo właśnie odkryła powód, dla którego Faustyna tak często odwiedzała laboratorium i skąd wzięła się ta cała medyczna wiedza u Kamila oraz zainteresowanie stanem jej zdrowia.

– Ostra białaczka limfoblastyczna. Zaczęło się, gdy miała dwa lata. Zachorowała dosłownie w ciągu tygodnia. Obudziła się w nocy, płacząc, że bołą ją nóżki. Ania dała jej panadol, a rano, gdy wychodziły do ośrodka, Faustynce poleciała krew z nosa. Przytomnie lekarka skierowała małą na badania od razu w tym samym dniu. Gdy zobaczyła wyniki morfologii... – Kamil przełknął ślinę.

– Co teraz? Nadal jest chora? – Olga nie mogła uwierzyć, że ta wesoła, pulchna dziewczynka z warkoczykami przeżyła taką chorobę, chociaż akurat jej wiedza o białaczce nie była zbyt dogłębna, ot, tyle, ile usłyszała czasami w telewizji lub przeczytała w jakiejś gazecie.

– Zaraz po urodzinach Maksia zaczęła się remisja. Gdy mały skończył pół roku, skończyła się też choroba Fisi. Całkowita remisja trwa już prawie cztery lata. Jeszcze rok i będzie można mówić, że jest zupełnie zdrowa. Codziennie się o to modłę – wyznał. – Mam nadzieję, że Ania nie pozwoli na powrót choroby. – Uśmiechnął się nieznacznie.

– Bierze jakieś leki?

– Już nie, ale co trzy miesiące robimy badania. Zostawiłem w LABBE prawdziwą fortunę. – Zaśmiał się Kamil. – Na pewno

znasz panią Dorotkę, pobiera krew u was w laboratorium. Fiśka ją uwielbia, tylko jej pozwala się kłuć. Nic dziwnego, bo pani Dorotka jest bardzo delikatna i skuteczna. Wiem, co mówię, bo też się daję. Od początku choroby Fiśki któremuś z nas również pobierali krew, żeby było jej raźniej. Najczęściej to ja padałem ofiarą. Jestem najbardziej przebadanym zdrowym mężczyzną w Polsce – zażartował.

– A co się stało twojej żonie? Jeśli nie chcesz o tym mówić, zrozumiem – dodała prędko.

– Zmarła kilka dni po urodzeniu Maksia.

– Jakies powikłania po porodzie?

– Rodziła normalnie, bez cięcia. Tak samo jak Faustynkę.

Lekarze stwierdzili, że Ania miała wylew krwi do mózgu, co było dla mnie strasznym zaskoczeniem, bo nigdy się nie skarżyła na bóle głowy, nie chorowała na nadciśnienie, nie doznała też żadnego urazu, o którym byśmy wiedzieli. Nic. Po prostu pękło jej w głowie jakieś naczynie, nazajutrz... – Chrząknął i kilka razy przełknął ślinę. – Nazajutrz stwierdzili śmierć pnia mózgu. Zrobili niezliczoną ilość badań, a po trzech dniach odłączyli ją od aparatury podtrzymującej życie.

– Nikt tego nie przewidział? Nie wiem, nie sprawdzają, czy kobieta może rodzić naturalnie? – Olga była wyraźnie wstrząśnięta i choć starała się zachować spokój, jej głos lekko się załamywał.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek myślał o takiej ewentualności. Ania zawsze była zdrowa. Gdy Fiśka zaczęła chorować, oboje gruntownie się przebadaliśmy. Lekarze na to nalegali, chodziło o zgodność do ewentualnego przeszczepu szpiku. Niestety, nie mogliśmy być dawcami dla naszej córki, ale przy okazji zrobiono nam mnóstwo badań i wszystkie wyniki wypadły idealnie.

– Strasznie mi przykro. Sporo przeżyłeś. – Olga zagryzła wargę.

Potaknął. – Najgorszy była chwila, gdy odbierałem Maksia ze szpitala. To było w tym samym dniu, w którym... – Znów lekko odkaslnął.

Zapadła cisza. Olga pomyślała, że zaraz się rozpłaczę. To był jeden z najbardziej przejmujących momentów w jej życiu, gdy

siedziała naprzeciw Kamila i bezradnie patrzyła, jak mężczyzna próbuje się nie rozkleić.

– Zjedliśmy! – Do pokoju wpadł Maksio. Podbiegł do ojca, oparł lepkie rączki na jego udach i uśmiechnął się od ucha do ucha. – To był zwykły dżem, tatusiu. Wcale nie kwiatkowy! Tam nie było żadnych kwiatków, ani pól. Oszukali cię! – Odwrócił się i popatrzył na Olgę.

– Maksiu! Wracaj! Nie posprzątałeś! – Z kuchni dobiegł głośny krzyk.

– Schowaj mnie! – pisnął malec i błyskawicznie wspiął się na kolana ojca. Naciągnął na głowę i drobne ramionka sweter Kamila, co sprawiło, że ten wyglądał trochę jak kobieta w awansowanej ciąży.

– Gdzie ten bałaganiarz?! – Faustyna stanęła w drzwiach i rozejrzała się uważnie.

Maksio cicho zachichotał pod granatową dzianiną i to go zdradziło. Fiśka dopadła brata, wyciągnęła go siłą i zawlokła do kuchni.

– Sama widzisz, jakie z nich łobuzy. Muszę trzymać towarzystwo w ryzach – westchnął z uśmiechem Kamil.

– Dobrze, że ich masz – stwierdziła Olga, też rozbawiona tym krótkim incydentem, który zapobiegł ich obopólnej rozsypce.

– Dobrze. To najlepsze, co mogło mnie spotkać w życiu. Dzieci są błogosławieństwem – rzekł niefrasobliwie Kamil. Dopiero po sekundzie pojął, że mógł sprawić Oldze przykrość swoimi słowami, więc zerknął na nią kontrolnie, ale na szczęście sprawiała wrażenie spokojnej.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę o metodach wychowawczych, zwłaszcza o tak zwanym bezstresowym wychowaniu, bo Kamil rozpoczął ten temat, i trochę się pośmiali, gdy dzieci zaczęły się dosyć ostro kłócić i ostatecznie ojciec musiał iść do kuchni, żeby zainterweniować. Później oddelegował je do łazienki, sarkając pod nosem, że „Dzień w dzień ta sama śpiewka, nie chcecie się myć, nie chcecie iść spać, a Olga to wszystko widzi i na pewno już nigdy nie przyjdzie odwiedzić takich niegrzecznych dzieci”.

Prawie udało się opanować niesforny duet. Prawie, bo jakiś kwadrans po tym, jak dzieci wyszły z łazienki i ułożyły się w łóżkach, nagle w całym mieszkaniu zgasło światło, a do Olgi i Kamila dobiegł wrzask Maksia. Akurat rozmawiali o swoich zainteresowaniach, a dokładnie o ulubionych książkach, gdy niespodziewana awaria zakończyła pogawędkę.

– Jezu! – Kamil zerwał się na równe nogi, żeby sprawdzić, co się zdarzyło w dziecięcym pokoiku, a zaraz za nim, choć po omacku, podążyła Olga.

Wyjęła z kieszeni zakietu komórkę i włączyła, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Sparzył się! – Faustyna klęczała na łóżku z przytkniętymi do buzi dłońmi. – Dotknął żarówki i się sparzył! Ale żyje!

– Chyba prąd go kopnął – zauważyła Olga, dostrzegłszy chłopca, który siedział na podłodze, trzymając się za rączkę i trzęsąc jak w febrze.

– Chyba tak – potwierdził Kamil. – Przyświeć tu – poprosił Olgę.

Razem pooglądali paluszki malca, który popiskiwał przy każdym najbliższym dotknięciu.

– Nic się nie stało – orzekł Kamil po minucie. – Trochę mięśnie mu chwyciło. Poboli i przestanie. Na szczęście przepięciówka zadziałała. Zamontowali w zeszłym roku w każdym mieszkaniu. Chwała Bogu, że nad wami czuwał! – Wziął Maksia na ręce i mocno przytulił, bo ten ciągle pochlipywał. – Już dobrze, już dobrze – powtarzał, kołyszając go w ramionach.

– Ale co on robił? – zastanawiała się głośno Olga. – Jak to się stało?

– Dotykał lampki? – spytał Kamil, zerkając na Faustynę znad ramienia synka.

– Uhm. Bo migąła. Mówiłam, że ma przestać, ale mnie nie słuchał. Chwycił żarówkę, a potem to nie wiem. Błysnęło i już. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Dobrze, że go nie zabiło. Ale byłby kłopot... – orzekła tonem „starej malutkiej”.

– Kłopot? Głupia jesteś! – oburzył się Maksio. – To targedia by była! Tato, powiedz, że targedia – wychlipał w tors ojca.

– Targedia. Okropna – potwierdził Kamil. – Maksiu, nie wolno dotykać lampki. Nigdy. Jeśli migiała, miałaś mnie zawołać, a nie naprawiać samemu. Nie wolno się bawić prądem. Rozumiesz?

– Uhm.

– Poczekaj, pójdziesz do Olgi na rączki, a ja spróbuję włączyć światło. Okej?

– Okej.

Olga z wrażenia zapomniała, że nie wolno jej dźwigać niczego o wadze większej niż dziesięć kilogramów. Położyła komórkę na nocną szafkę i wzięła chłopczyka na ręce, mile zaskoczona okazanym zaufaniem. Przyłgął do niej i od razu poczuła, że zmoczył łzami jej policzek.

Kamil wypiął z gniazdka kabel lampki i wyszedł z mieszkania, a Olga przysiadła z Maksiem na skraju łóżka, bo ręce błyskawicznie zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa.

– Smoka – wymamrotał po chwili chłopczyk.

– Co? – Nachyliła się, żeby lepiej go słyszeć.

– On chce smoka – wyjaśniła Fiśka, która przycupnęła tuż obok nich.

– Smoka? Jakąś maskotkę? – Olga zmarszczyła czoło.

– Nie. Chce smoczek. Taki do mulania w buzi – uzupełniła.

– Aha. A gdzie on jest?

– Tata schował. – Faustyna dyskretnie zerknęła na górę czerwonej szafy mammut. – Schował, bo Maksior mnie uszczypnął, gdy rano mówiliśmy pacierz.

– Nieprawda – wybulgotał Maksio. – Wcale cię nie uszczypłem.

– Uszczypłeś.

– Nie. Prawie zginąłem, a ty mi dokuczasz – burknął spod pachy Olgi. – Nie masz serca.

– Mam. Tatuś mówi, że mam wielkie serce. Okropnie się przestraszyłam, że coś ci się stało, a ty pyskujesz, że nie mam serca.

– Masz wielki brzuch. – Ledwie to powiedział, a Faustyna od razu spuściła wzrok na spodenki flanelowej piżamy trochę zbyt mocno opięte w pasie.

– A ty jesteś głupi. Mogłeś się zabić z tej głupoty – zripostowała.

– No właśnie. A ty w ogóle tego nie przeżywasz. A już więcej braciów nie będziesz miała. Bo nie ma mamusi i kto ich urodzi?

– Jesteś głupi. Mogę mieć braci, bo surykatka ich urodzi. Inka mówiła, że tak mówili w telewizji.

– Wymyśliłaś to. Olga, powiedz, że nie ma tej sukiratki.

– Surykatki? – wykrztusiła z trudem Olga. Prawie się udusiła ze śmiechu, gdy Fiśka zaczęła dyskutować z bratem. – Surykatka to takie małe zwierzątko. Trochę mniejsze od kota.

– No widzisz! – wrzasnął z tryumfem Maksio i nawet odkleił się od Olgi, żeby obrzucić siostrę pogardliwym spojrzeniem. – Jak takie małe zwierzątko urodzi dzidziusia? Aleś ty głupia. Inka cię nabrała.

– Na pewno mnie nie nabrała.

– Olga, powiedz jej, że ma powiedzieć tacie, że tata ma mi oddać smoka. – Maksio popatrzył na tymczasową opiekunkę.

– Hm... Chyba musisz najpierw przeprosić Faustynkę. – Olga domyśliła się, w czym tkwi problem.

– Nie.

– Niewątpliwie mnie uszczypleś, więc przepros.

– Nie uszczyplem.

Na szczęście Kamilowi udało się właśnie odblokować drzwiczki skrzynki i w całym mieszkaniu rozbłysło światło. Również na korytarzu.

– Jestem! – oświadczył, wchodząc do pokoju i zapalając główną lampę nad ich głowami. – Gówniarz wybił prąd na całej klatce, o ile nie w bloku. Dobrze, że udało mi się to uruchomić, bo sąsiedzi by nas zlinczowali. I jak? Maksio, pokaż łapkę – powiedział, przysiadając się z wolnej strony do Olgi.

Synek od razu wyciągnął małą rączkę, kilka razy wyprostował i zgiął palce, jak polecił mu tato, i zadowolony, że jest w centrum zainteresowania, spojrzął na Fiśkę.

– Mam moc. Zabiłem prąd. W całym bloku – dodał bardzo poważnym tonem.

– Taaa... istny Superman. – Jego ojciec pokiwał głową.

– Chyba wszystko w porządku? – spytała Olga, zerkając na ciągle jeszcze zdenerwowanego Kamila.

Ten skinął potakująco głową. – Posłuchajcie, dzieciarnia! Jutro pogadanka o elektryczności, bo widzę, że macie poważne braki w tym temacie, a teraz do łóżka, a to dziadostwo idzie w kosz! – Podniósł się i chwycił lampkę za podstawę. – To znak, że koniec spania przy zapalonym świetle. Zrozumiano?

– No – mruknął bez przekonania Maksio, bo trochę bał się ciemności, nawet takiej rozświetlonej latarniami stojącymi na parkingu przed blokiem. – Mogę za to dostać smoka?

– A przeprosiłeś Fisię?

– Tato... – jęknął z wyrzutem. – Prawie zginałem.

– Masz moc, to sam znajdź. – Głos Faustyny aż zawibrował z nieskrywanej ironii.

– Ech, święty by z wami nie doszedł do ładu... – Kamil machnął ręką. – Na raz Maksio przeprosza Fiśkę! Na dwa oddaję mu smoka! Na trzy oboje jesteście pod kołdrą! Na cztery gaszę światło i wychodzę stąd z Olgą! Na pięć śpicie! Jasne?!

– Jasne!

– Raz!!! – huknęło w pokoju...



Końcówka marca była bardzo obiecująca. Słońce przygrzewało tak mocno, że krakowskie kwaciarki wypełniły płytę Rynku swoimi pachnącymi stoiskami, a i restauratorzy zaczęli im dzielnie pomagać. Olga z Izą znalazły wolny stolik przed kawiarnią Wedla, zamówiły po filiżance gorącej czekolady i nawet skusiły się na coś słodkiego. Przy torciku wymieniły się ploteczkami, choć akurat w tej materii zdecydowany prym wiodła Iza jako znacznie lepiej poinformowana, co dzieje się w ich paczce.

Za to Olga koniecznie musiała się podzielić swoimi przeżyciami z soboty. Już w niedzielę zadzwoniła do Izy, ale ta nie miała sił, bo odsypiała nocne szaleństwa w klubie. Dlatego spiknęły się w poniedziałek, urwawszy się z pracy, choć Izie było zdecydowanie trudniej wyjść w południe z wydawnictwa i zniknąć choćby na godzinkę.

– Opowiadaj! – Iza przełknęła ostatni łyżeczek czekolady i odstawiła filiżankę.

– To jakiś kosmos – zaczęła Olga. – Wiesz, wdowiec, te dzieciaki, na dodatek on, a raczej oni wszyscy, mają niezłego bzika na punkcie Kościoła. Sama nie wiem, od czego zacząć.

– Najlepiej od początku. Trzy „wu”, czyli wiek, wygląd, wykształcenie, potem co robi, gdzie mieszka, czym się wozi, gdzie spędza urlop, a reszta już sama poleci.

– Trzydzieści sześć lat, całkiem przystojny, podobny trochę do Ryana Goslinga, ale ma lepszy nos, mojego wzrostu, sylwetka naturalna, bez szafu, ale i bez żadnych defektów, naturalny blondyn, piękne oczy...

– Na które dałaś się złapać jak muszka na lep? – przerwała jej Iza.

– Jeszcze nie! – Olga pokręciła głową. – Magister inżynier, jest nauczycielem informatyki, uczy w szkole podstawowej na Azorach, gdzie zresztą mieszka.

– W bloku? – znów wtrąciła się Iza.

– A w czym? Przecież nie w willi. – Olga puściła jej oczko. – Ma całkiem ładne to mieszkanko. Drugie piętro, na oko jakieś pięćdziesiąt metrów, trzy pokoje...

– Pięćdziesiąt metrów i trzy pokoje? Chyba pokoiki?

– Dwa pokoiki i jeden pokój – zgodziła się Olga i szybko opisała wnętrza. Szybko, bo przecież nie było się o czym rozgadywać.

– A co robią jego rodzice? Ma rodzeństwo?

– Rodzice nie żyją. Nie wiem dlaczego, ale pewnie zmarli ze starości, bo matka urodziła go grubo po czterdziestce. Cudem udało się jej zająć w ciążę.

– Aha, czyli jedynak. Coś jeszcze?

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Hobby? Dzieci! – zażartowała. – Wczasami się nie chwalił, więc pewnie nie jeździ. Może gdzieś tu, lokalnie? Z dziećmi ciężko się wyrwać, i to kosztuje, a on raczej nie zarabia kokosów w tej szkole i nawet z rentą po żonie i zasiłkami ma kłopot z domknięciem budżetu.

– Żalił się?

– Nie, ale myślę, że mu się nie przelewa.

– A co się stało z jego żoną?

– Zmarła przy porodzie, a dokładnie trzy dni po urodzeniu synka, Maksymiliana. Chłopczyk ma ponad cztery lata, a Faustyna osiem.

– A co się jej stało? – Iza ze zgrozą pokręciła głową. Planowała zamążpójście w lecie, a i o dzieciach rozmawiała już z narzeczonym, więc gdy słyszała takie historie, włos się jej jeżył na głowie.

– Wylew krwi do mózgu. Trzy dni trzymali ją pod respiratorem, a gdy stwierdzili śmierć pnia mózgu... – Olga zawiesiła głos, bo przypomniawszy sobie wyraz twarzy Kamila, gdy jej to opowiadał.

– Jezu! Zmieńmy temat.

– Pięć złotych do kasy – odparła natychmiast Olga i wykrzywiła twarz w czymś, co miało przypominać uśmiech.

– Jakie pięć złotych?

– I tu płynnie, i zgodnie z twoim życzeniem przechodzimy do innego tematu, a mianowicie fanatyzmu religijnego pana Kamila i tego, co wtłacza do głów swoim dzieciom – prychnęła Olga. – Znasz przykazania? Powinnaś znać, przecież bierzesz ślub kościelny. Chodźcie na nauki z Arkiem! Nie uważasz na zajęciach?

– Aaa! – Iza natychmiast skojarzyła. – Za Jezusa?

– Owszem.

– Serio? Każe płacić dzieciakom za to, że powiedzą „Jezu”?

– Za wszystko. Za „Boże”, za „Jezu”, a nawet za „Matko”, choć trzeba przyznać, że sam też płaci, gdy mu się wymsknie.

– Niech zgodną, zebrane pieniądze wpłacają na konto ojca dyrektora? – Iza prawie się zakrztusiła, tak bardzo ją rozbawił własny żart.

– Nie pytałam, ale na pewno przeznaczają na jakiś zbożny cel.

– No dobrze, podstawowe dane mam. A jak randka? Ogólne wrażenia? Sorki, ale zaraz muszę lecieć. – Iza zerknęła na ekran komórki, w której co chwilę coś pikało.

Olga zamierzała podzielić się informacją o chorobie Faustyny, ale nie wiedząc do końca dlaczego, zmieniła zdanie:

– Ogólnie było miło, choć krótko, bo dzieci ustąpiły z pola dopiero o dziewiątej, a ja pojechałam godzinę później. Nie

wypadało mi przecież siedzieć do północy. Na dodatek wydarzyła się mała katastrofa, bo młodego trzepnął prąd z lampki nocnej i pół godziny beczał, a Kamil go pocieszał. Masakra, takiego wrzasku dawno nie słyszałam.

– Umówiłaś się z nim? Z nimi – poprawiła się Iza.

– Chyba tak. Wstępnie na środę, ale mamy się dzwonić.

– Wiesz co, Olga? Nie wydaje ci się to dziwne? Przecież ten facet jest totalnie nie dla ciebie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Serio nie wiesz? Zróbmy porównanie. Weźmy chociażby Hajduka czy tego... Łukasza Stawskiego, albo Kolasę. Wszystkich łączy jedno: to ludzie z naszych kręgów i nie mam na myśli jedynie hajsu, ale całokształt: ogar życiowy, światopogląd, sposób spędzania wolnego czasu, pasje, podróże i tak dalej. Już to, że Kamil ma dwójkę dzieci, powinno cię wyrzucić poza jego orbitę, przecież ty nie znosisz dzieci. Nigdy nie chciałaś mieć dzieciaków, więc jak? Po co się z nim spotykasz, skoro to absolutnie nie rokuje? Nawet na seks bez zobowiązań bym nie liczyła, bo to raczej typowy kościółkowiec.

Olga zagryzła wargi, bo ledwie Iza wymieniła przezwisko jej największej miłości, poczuła ostre piknięcie w sercu. Tym ostrzejsze, że Hugo Hajdukiewicz zaczął prowadzić dokładnie takie życie, o jakim nigdy nie myślała w kategoriach atrakcyjnego dla siebie: dom, żona, gromadka dzieci, spokój, rodzinna sielanka i stabilizacja plus niedzielne wizyty w kościele.

– Nie zamierzam go uwodzić. Nie potrzebuję sobie udowadniać, że jestem atrakcyjna.

Iza już miała na końcu języka uwagę, że nie jest tego taka pewna, ale spasowała. Dobrze pamiętała, jak mizernie wyglądała Olga miesiąc temu, zaraz po zabiegu usunięcia macicy. Może nie były najlepszymi przyjaciółkami chodzącymi po tej planecie, ale kopanie leżącego nie było w jej stylu.

– Chcesz się z nim związać na poważnie? Dlatego idziesz na kolejną randkę czy jak to nazwać? – spytała. – Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Nie jestem – odpowiedziała po namyśle Olga. – Nie wiem, po co chcę się z nim spotkać, ale uwierz, naprawdę tego chcę, choć świetnie zdaję sobie sprawę, że to nie ma sensu. Wycięli mi narząd rodny, nie mózg. – Zamknęła na moment oczy i zwróciła twarz w stronę słońca.

Jego promienie przenikały przez powieki, rozlewając pod nimi ocean płonącej czerwieni. Ta sama energia płynęła od Kamila i od dzieci, uświadomiła sobie nagle Olga. Może o to chodziło? O ogrzanie się w ich ciepłe, które generowali bardziej skutecznie niż wiosenne słońce wiszące nad jej głową? I dzielili się nim równie ochotczo, bez najmniejszych lęków i obaw, że kiedyś je roztrwonią.

– A może zgodziłaś się, bo doskonale wiesz, że nic z tego nie będzie? Kolesi ma być plastrem? Oderwiesz go i wyrzucisz do kosza, gdy twoje serduszko się zagoi? Coś jest na rzeczy, chyba wiem, po kim próbujesz się wykurować. Zauważyłam, jak zareagowałaś, gdy powiedziałam „Hajduk”. Olga, tak nie można. Pogrywaj z mężczyznami, ale nie z dziećmi. A co będzie, gdy one cię polubią?

– Nie pogrywam z nim. I nie zamierzam – oburzyła się. Otworzyła oczy i przez chwilę patrzyła na postać koleżanki unoszącą się w zielonej mgle. Dopiero po chwili jej przeszło i zaczęła widzieć normalnie. – Nie zamierzam z nim pogrywać – powtórzyła. – A już zwłaszcza próbować wkraść się w jego łaski, manipulując dzieciakami. Za kogo ty mnie masz?

– To co?

– Mówiłam ci: nie wiem. To coś irracjonalnego – przyznała po chwili. – Od początku.

– Co masz na myśli? Szczerze mówiąc, zabrzmiało to bardzo dziwnie, zwłaszcza w twoich ustach – oceniła Iza swoją przyjaciółkę, znaną z bardzo trzeźwego, wręcz naukowego podejścia do świata.

– Nie wiem. Coś mnie do niego ciągnie. Wystarczy takie wytłumaczenie?

– Musi. – Iza puściła jej oczko. – A teraz sorki, kochana, ale muszę lecieć. – Podniosła się z wiklinowego fotelika i ucałowała Olgę w policzek.

– Dzięki za spotkanie. Leć, a ja jeszcze chwilę posiedzę. Całkiem tu miło.

– Pa.

Olga przez kilka minut napawała się słoneczną energią. Była jej bardzo potrzebna. Wstała od stolika dopiero wtedy, gdy przy sąsiednim zebrała się grupka wyjątkowo hałaśliwych licealistek, co jej wybitnie przeszkadzało.

Też miała zamiar pojechać do pracy, ale nie zdążyła odejść nawet pięciu metrów od kawiarnianego ogródka, gdy usłyszała sygnał nadchodzącej wiadomości. *Gdzie jesteś?* – spytał Kamil. – *Na Rynku, a Ty?* – odpowiedziała. – *W pracy. Możesz coś dla mnie zrobić?* – kontynuował. Zamierzała odpisać: *Zależy, co to ma być...*, ale ostatecznie wklepała tylko słówko: *Tak*. Kamil odpisał: *Bardzo się cieszę. Wobec tego proszę Cię, podejdź do jakiejś kwiatarki i kup jedną najpiękniejszą czerwoną różę, byle nie metrową, bo one nie pachną, a gdy to zrobisz, odpisz.*

Olga parsknęła śmiechem, ale posłusznie skrzyła w stronę najbliższego stoiska z kwiatami, których zapach wydał jej się dzisiaj wyjątkowo mocny. Troszkę jej zeszło, bo nie potrafiła zdecydować, który kwiat jest „najpiękniejszy”. W końcu się udało. Zapłaciła, powąchała różę, a potem owinęła łodygę w cieniutką bibułkę, żeby nie pokłuć palców. Podeszła do pomnika Adasia, przysiadła na murku i odpisała Kamilowi, że misja się powiodła.

Była ciekawa, co ma zrobić z różą. Spekulowała, że Kamil powie: *Zanieś ją do kościoła*, może dlatego zrobiło się jej dziwnie na sercu, gdy przeczytała: *Ta róża jest dla Ciebie, ode mnie*. Szybko odpisała: *To bardzo miłe z Twojej strony, ale musiałam sama ją sobie kupić i sama za nią zapłacić, i chociaż nie jestem małą dziewczynką, uważam, że nie wysiliłeś się szczególnie* – i okrasila odpowiedź emotką z przymrużonym okiem. – *A ja myślałem, że mam do czynienia z kobietą wyzwoloną i niezależną, ale masz rację. Nie wypada, żeby dama sama sobie kupowała kwiaty. Mogę to naprawić?* – zapytał. – *Możesz, ale nie wiem jak.* – *Mam pomysł...* – odpisał i zamilkł.

– Hm... trochę banalny ten podryw na bycie „Panem Mocno Tajemniczym” – mruknęła, zanurzając nos w czerwonych płatkach.

Zamknęła oczy i zaciągnęła się wyjątkowo mocnym zapachem. Był słodki i kojarzył jej się z perfumerią Molinard, którą odwiedziła kiedyś przy okazji jednego z urlopów na Lazurowym Wybrzeżu. Nagle poczuła, że coś delikatnie dotknęło jej policzka. Natychmiast uniosła powieki.

– Kamil? – Zdumiona spojrzała na mężczyznę. I na spory bukiet róż, który trzymał w prawej ręce. To nimi musnął ją po twarzy. – Co tu robisz?

– Jestem w pracy. Przyjechałem po myszki. Do komputerów – odparł, unosząc do góry reklamówkę wypełnioną jakimiś pudełkami. – Mam dwugodzinne okienko, a siedzieć w taki piękny dzień w pokoju nauczycielskim to marnotrawstwo i głupota – dodał i usiadł obok niej. Podał jej kwiaty, mówiąc: – Te sam kupilem.

– Śliczne. Dziękuję. – Olga wtuliła twarz między delikatne płatki.

Zawstydyła się, bo Kamil ją zaskoczył swoim nagłym pojawieniem i tym, że wydał jej się nagle najfajniejszym facetem, jakiego spotkała w życiu. Siedział tuż przy niej i nucił pod nosem. Dopiero po chwili poznała, że to *Something stupid* Franka Sinatry.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – spytała, sądząc, że to nie przypadek.

– Idę po te myszki i kogo widzę? Olgę. Przechodziłem tuż obok ciebie i jakiegoś ładnego rudzielca, ale tak byłyście zaafektowane rozmową i pić kawy, że mnie nie zauważyłaś.

– Czekolady. Piłyśmy czekoladę, a ten ładny rudzielec to Iza, moja przyjaciółka.

– Tak myślałem, że przyjaciółka. Postanowiłem, że gdy będę wracać, a ty nadal będziesz w kawiarni, podejść się przywitać i przedstawić, ale rudzielec zdążył uciec. Tobie też prawie się udało.

– Podglądałeś mnie, kiedy kupowałam różę? – Uśmiechnęła się, patrząc w jego rozjaśnione promieniami słońca oczy.

– Można tak powiedzieć, choć raczej użyłbym słowa: obserwacja, ewentualnie monitorowanie, ale nie bój się, nie jestem stalkerem, to chyba naleciałość z poprzedniej roboty. A tak w ogóle, to masz dzisiaj wolne? – spytał, licząc na to, że jeszcze przez chwilę będzie mógł z nią pogawędzić przy pomniku.

– Hm... Mam nienormowany czas pracy. Nadrobię wieczorem – wyjaśniła.

– Fajnie. Też lubiłem taki system – westchnął.

– Dlaczego zmieniłeś pracę?

– Nie było innego wyjścia. Mogłem pracować z domu, z reguły tak właśnie było, ale raz na kwartał, czasem częściej, musiałem lecieć do Waltham, to w stanie Massachusetts, i siedzieć tam tydzień, a nawet dwa, i ustalać pewne kwestie osobiście. Miałem fajnego menedżera, lubiliśmy się z Noahem – westchnął ciężko.

– Czym dokładnie zajmuje się ta firma?

– Netcracker? Oprogramowaniem dla wojska. Głównie komunikacyjnym.

– Aha. – Olga pokiwała głową.

Nie musiała pytać, dlaczego Kamil zrezygnował. Domyśliła się, że gdy został sam z dwójką dzieci stale wymagających jego obecności, takie wyjazdy nie wchodziły w grę.

– Żałuję, bo naprawdę lubiłem tę pracę.

– Dobrze zarabiałeś?

– Tak. Gdy dowiedzieli się, co mnie spotkało... – dodał w zadumie, bo znów ogarnęły go przykre wspomnienia – najpierw zaproponowali, że ktoś przez pół roku będzie przyjeżdżał do mnie, ale odmówiłem. Wiedziałem, że to nie kwestia pół roku, tylko co najmniej dwóch lat. Nikt nie będzie tyle czekał. Złożyłem wypowiedzenie, a menedżer wypłacił mi taką odprawę, że kupiłem za to całkiem niezły samochód i jeszcze spłaciłem siostrę Ani za połowę mieszkania.

– Nie możesz tam wrócić?

– Raczej nie. Nie pytałem. Zresztą sytuacja się nie zmieniła, więc po co drążyć?

– A jak tam się dostałeś? Szczerze mówiąc, taka praca nie leży na ulicy. Na bezrobociu też nie znajdziesz takiej oferty.

– Będziesz się śmiać, ale to przypadek. Byłem wielkim fanem Diabla, a Noaha poznałem na jednym z amerykańskich forów miłośników tej gry. Od słowa do słowa i okazało się, że spośród graczy werbował potencjalnych pracowników ze wschodniej Europy.

– Brzmi jak bajka.

– Bo to była bajka – rozmarzył się Kamil.

– I jak każda bajka szybko się skończyła.

– Ale zaczęła się inna – dodał natychmiast. – Nie narzekam na szkołę. Jest blisko, szybko kończę, są wakacje i ferie, a najważniejsze, że lubię te moje dzieciaki, choć co rocznik to gorsze łobuzy. I łobuziary, bo dziewczyny w niczym nie ustępują chłopcom.

– Nadmiar testosteronu z kurczaków.

– To co? Idziemy do KFC? – zażartował Kamil, bo już miał dosyć grzebania w przeszłości.

– O nie! Nie jadam fast foodów. I nie lubię drobiu.

– Wobec tego zapraszam cię na żeberka w pepsi.

– A dokąd?

– Do mnie – odpowiedział, spoglądając na Olgę wesoło.

– A kiedy?

– Jutro?

– Dobrze. Mam coś przynieść?

– Siebie. I dobry humor.

– Hm... Postaram się.

– Przemiło się siedzi, ale... – Kamil znacząco uniósł brwi.

– Spiesz się panu? – zażartowała Olga.

– Spiesz, ale zdążę cię odprowadzić, choć nie wiem, gdzie. – Staął i wyciągnął do niej dłoń, ale udała, że jej nie zauważyła, zajęta zbieraniem swoich manatków z murku pomnika.

– Zrobimy inaczej, ja odprowadzę ciebie. To z wdzięczności za wszystko – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– Liczysz na podwójną porcję żeberka?

– Ech! Przejrzałeś mnie na wylot – odparła, dopiero teraz spoglądając na Kamila.

Wstała i wzięła go pod ramię. Spacerowym krokiem dotarli aż pod Bagatelę, gdzie Polski zaparkował samochód.

– To do zobaczenia jutro – westchnął, bo wcale mu się nie chciało rozstawać z Olgą, tym bardziej że pogoda dopisywała, a pogawędka była interesująca.

– Do jutra – powtórzyła Olga.

Na moment zapadło między nimi dziwne skrępowanie. Stali naprzeciw siebie, jakby każde z nich czekało na jakiś ruch tego drugiego. Choćby na wyciągnięcie ręki. Ale żadne nie chciało pierwsze wykazać inicjatywy i w końcu Kamil nacisnął pilota. Piknęły zamki.

– To do zobaczenia. – Chrząknął.

– Do zobaczenia.

Olga jeszcze przez moment stała i patrzyła, jak Kamil wsia-
da, zapina pasy, uruchamia samochód i powoli wycofuje, żeby
łatwiej włączyć się do ruchu. Pomachała mu lekko wiązanką róż,
znów myśląc, że ich znajomość jest kompletnie bez sensu. Wes-
tchnęła głęboko i pomaszerowała z powrotem na Rynek.